

Polak Katolik. Zapis rozmowy

Skąd się bierze sekret potęgi i panowania polskiego Kościoła? Z punktu widzenia osób nastawionych krytycznie wiele jest wątpliwych wymiarów tej potęgi. Kościół poradził sobie z komunizmem, poradził sobie też z kapitalizmem i demokracją, a teraz wyrasta na najpotężniejszą instytucję w polskim życiu publicznym. Wydaje się, że zarówno obawy, jak i nadzieje związane z procesem sekularyzacji, go nie dotknęły. Obecnie wymiar doczesnego panowania Kościoła odciska się znacznie silniej w rzeczywistości niż choćby w latach 90. poprzedniego stulecia, kiedy podobne debaty o obecności sfery sakralnej w życiu publicznym były bardziej ożywione. Teraz to gra do jednej bramki. I mimo dużej liczby głosów krytycznych ta pozycja nie słabnie. Jak wyjaśnilby pan tajemnicę tego sukcesu?

To pytanie pozornie łatwe, ale w rzeczywistości bardzo trudne. Podałbym jednak w wątpliwość, czy to faktycznie sukces. Ta wyrazista obecność w strukturach państwowych, poczynając od przedszkola, a na domach pogrzebowych kończąc, to na pierwszy rzut oka sukces, ale jednak bardzo dwuznaczny. Kościół katolicki w Polsce właściwie padł ofiarą własnego sukcesu. Odwołam się do jednego z moich nauczycieli, księdza Tischnera, który w latach 70. czy 80., kiedy byłem jego studentem, mówił o pokusach stojących przed Kościołem i jednocześnie zaczął zmieniać swój stosunek do komunizmu. Później, w czasach „Solidarności”, ten sposób myślenia, dekonstruujący utrwalony model katolicyzmu, jeszcze się pogłębił. Tischner mówił dużo o dialogu, oczywiście w swój sposób nieco sarkastyczny i żartobliwy, ale przeradzający się coraz bardziej w ostre, dramatyczne diagnozy Kościoła, który ciągle przecież, zwłaszcza w swej ostatniej książce „Ksiądz na manowcach”, powtarzał, że polski katolicyzm ma przed sobą chrześcijaństwo, a zwłaszcza Ewangelię. Dlatego mówię o dwuznaczności, że ten sukces zaślepia, nie prowokuje refleksji krytycznej, zastanowienia, czemu to ma służyć. To, że ksiądz katecheta staje się prefektem, z którym zmagał się młody Czesław Miłosz w swoich dziełach z okresu międzywojennego, jest wyznacznikiem tej dwuznaczności. Autorytarna obecność w szkołach jest groźna, ponieważ sprawia, że religia zaczyna być utożsamiana z władzą. Takich przykładów można wymienić znacznie więcej. Dlaczego to podkreślam? 50 lat temu Kościół katolicki na II soborze watykańskim zdystansował się wobec twardej obecności w przestrzeni doczesnej. Papież Jan XXIII zaproponował radykalne odejście od skompromitowanych modeli państw południowoamerykańskich czy modelu hiszpańskiego w Europie, które z jednej strony Kościół podtrzymywał, a z drugiej strony sam był przez nie podtrzymywany. Socjologicznie rzecz ujmując, ma pan rację – mamy do czynienia z sukcesem pewnej instytucji religijnej w takim kraju jak

Polska, który od prawie trzydziestu lat kroczy drogą demokratyzacji. Możemy stworzyć długą listę zarówno beneficjentów, jak i przegranych transformacji po roku 1989, ale niewątpliwie największym jej wygranym jest Kościół. Partie rządzące mogą się zmieniać, od lewa do prawa, a Kościół pozostaje ulubionym punktem odniesienia i każdy próbuje mu się przypodobać. Wprawdzie w latach 2015–2016 mamy do czynienia z sukcesem Kościoła, jednak wraz z nim dojrzewają gorzkie owoce upolitycznienia religii. Przywołam tu papieża Franciszka, który doświadczywszy na własnej skórze realiów systemu autorytarnego umizgującego się do Kościoła, ma wyraźną alergię na ten typ połączenia. Powiedziałbym więc, że to rzeczywiście sukces, ale socjologiczny, finansowy. Czy również religijny – co do tego mam już poważne wątpliwości.

Zapytajmy więc o to, o co zresztą sam pan pyta w konkluzji jednego z rozdziałów swojej książki. Czy polski katolicyzm w ogóle jest religią? A skoro obchodzimy 1050. rocznicę chrztu Polski, zapytajmy może, czy w Polsce w ogóle mamy do czynienia z chrześcijaństwem w ewangelicznym rozumieniu?

Przed rozpoczęciem spotkania rozmawialiśmy o znakomitym wywiadzie prof. Henryka Samsonowicza w Magazynie Świątecznym „Gazety Wyborczej”, w którym jedno z pytań dotyczyło właśnie rocznicy chrztu Polski. I Samsonowicz odpowiada pytaniem, czy chodzi o chrzest Polski, czy chrzest księcia Mieszka? To bardzo dobrze postawione pytanie. Mieszko z kalkulacji politycznych połączył się z chrześcijaństwem zachodnim, ale Polska – jakkolwiek możemy ją określić w X w. – nie przyjęła przecież chrztu gremialnie. Już to jest dużym znakiem zapytania. Kochamy mity, a mit chrztu Polski określił nas definitywnie jako społeczeństwo chrześcijańskie. Pamiętam rok 1966 i konfrontację między Kościołem katolickim a Polską Gomułkowską. Nastąpiło wówczas wyraźne starcie dwóch ideologii, z których chrześcijaństwo było równoległe z faktem państwowości. W swojej książce często odwołuję się do Karla Rahnera, bardzo ważnego dla mnie teologa, który stwierdził, że dzieje chrześcijaństwa można podzielić na trzy części. Środkowa, najdłuższa, od IV w. do połowy XX w., to część pokonstantyńska, co wiąże się z tym, że Konstantyn, czyniąc chrześcijaństwo najpierw religią dopuszczoną, a później obowiązującą, ją upolitycznił. Księża, biskupi i papież stali się szybko narzędziem państwowotwórczym, współtworzyli imperium. Polski katolicyzm wpisuje się właśnie w ten okres. Natomiast w pozostałych okresach, poza Polską i kilkoma innymi krajami, mamy do czynienia z zupełnie inną formą chrześcijaństwa. Pierwsze trzy wieki naszej ery to chrześcijaństwo, które szuka siebie – własnej tożsamości w sporze, w dialogu, zwłaszcza z judaizmem, z którego chrześcijaństwo przecież wyrosło. **Pierwsi wyznawcy Chrystusa, którzy bez wyjątku byli Żydami i nigdy dość przypominania tego w Polsce**, pozostawali w ciągłym kontakcie, rozmowie z innymi

wyznaniami, co stanowiło istotę ich religii. Właśnie ten dialog, niepewność własnej tożsamości, tworzenie pierwszych fundujących tekstów, takich jak Nowy Testament i pisma Ojców Kościoła, włączenie do tego kanonu Biblii hebrajskiej ... Mamy więc do czynienia z dynamiczną rzeczywistością. Kolejne 1600 lat to natomiast umacnianie struktury, co do której faktycznie można wątpić, czy jest chrześcijaństwem, czy to nadal religia Jezusa z Nazaretu. II sobór watykański może nie rozpoczął nowej ery, ale przynajmniej głośno stwierdził, że ci, którzy w to wątpią, mają rację. Ich poszukiwania nowego modelu, zwłaszcza w Azji, gdzie dialog z religiami o wiele starszymi niż chrześcijaństwo czy judaizm – czyli hinduizm, buddyzm, taoizm – dowiódł, że musimy ze sobą rozmawiać nie na zasadzie nawracania i ewangelizacji, tylko poszukiwania wspólnej drogi do Boga. Faktem jest, że ateizm, zwłaszcza ten naukowy, który pojawił się w połowie XIX w. dzięki Karolowi Marksowi, narodził się w opozycji właśnie do tego zideologizowanego chrześcijaństwa. Od 50 lat mamy do czynienia z fascynującym powrotem do religii początków, ale Kościół katolicki w Polsce w ogóle tego nie zauważył, a raczej nie chce tego zauważać. Jestem zatem skłonny odpowiedzieć na Pańskie pytanie w sposób afirmatywny. Polski katolicyzm w swojej najbardziej reprezentatywnej formie nie jest religią, jaką stworzył Jezus z Nazaretu i z jaką mamy do czynienia na świecie – poszukującą Boga, własnej tożsamości. To religia zideologizowana, oparta na niepodważalnej tożsamości instytucji, która odniosła sukces i na swoje sztandary wynosi głównie ludzi sukcesu. Choćby ojciec Rydzyk, który w latach 70. czy 80. poprzedniego wieku (kiedy tak wielu księży i świeckich katolików szukało twórczych form dla swojej wiary w przestrzeni publicznej), w ogóle nie istniał jako reprezentant Kościoła, a stał się ikoną polskiej religijności dopiero w momencie, gdy zaproponował formę twardego, bezkompromisowego katolicyzmu. Powołam się też na zmarłego niedawno znakomitego historyka Janusza Tazbira, który mówił o Janie Pawle II jako Polaku, który po Koperniku odniósł największy światowy sukces. Ponownie więc katolicyzm podcina się pod osobisty sukces, grzeje w jego świetle, oczywiście przy zachowaniu proporcji między Rydzykiem a Janem Pawłem II. **Paradoks tkwi w tym, że chrześcijaństwo jest nominalnie religią krzyża, klęski i śmierci, z której się zmartwychwstaje, ale faktycznie całkowitym zaprzeczeniem tego pierwotnego impulsu religijnego.**

Przyznam, że jednym z ciekawszych wątków w dziedzinie teologicznej dla laika, jakim sam jestem, pozostaje motyw wylaniania się chrześcijaństwa jako części judaizmu, dyskusji w obrębie judaizmu, a później błyskawicznego krystalizowania się dogmatów. Dość szybko również następuje sojusz tronu i ołtarza, który zaciążył mocno, być może najmocniej, na przyszłości chrześcijaństwa, a potem katolicyzmu. Czy mógłby pan zrelacjonować ten proces przechodzenia od rewolucyjnej, wydawałoby

się, doktryny, do tego, co znamy z opracowań o roli Kościoła w średniowieczu, głoszącego już wówczas twardą, zamkniętą ideologię?

To rzeczywiście niezwykle ciekawe, powiedziałbym nawet, że fascynujące z punktu widzenia historii religii. Mieliśmy do czynienia z fenomenem, który można było również zaobserwować w stosunku hinduizmu do buddyzmu. Siddhartha, osoba z wyższych sfer, chroniona przed złem i ułomnością życia, nagle odkrywa te wymiary i wątpli w swoją dotychczasową wizję świata; ucieka więc od hinduizmu zastanego i tworzy jedno z najważniejszych dla hinduizmu wyznań, czyli właśnie buddyzm. Jak wskazują specjaliści, ten spór buddyzmu z hinduizmem trwa do dzisiaj. Można powiedzieć, że do dzisiaj mamy do czynienia z największą przygodą w dziejach ludzkości, której główny impuls przyszedł z Azji Wschodniej. Podobnie jest z duchowym dziedzictwem Bliskiego Wschodu – kolebki aż trzech religii monoteistycznych. Mamy do czynienia z pobożnym Żydem, Jezusem z Nazaretu, który swoją duchowość przeżywa bardzo głęboko, jest wyraźnie zakorzeniony w judaizmie prorockim, wrażliwy na krzywdę. Można tu dostrzec pewne analogie z Buddą. I oto Jezus z Nazaretu zostaje przez innych Żydów, swoich uczniów, niemalże delegowany na wyczekiwanego mesjasza. To bardzo złożony proces, który można dokładniej prześledzić od Starego Testamentu. Faktem jest, że początki chrześcijaństwa, z Jezusem, a potem Świętym Pawłem, to właściwie dyskusja w ramach judaizmu, jedna z propozycji, która ścierała się z innymi. Daniel Boyarin, ortodoksyjny teolog żydowski, najwyraźniej sformułował tezę, że pierwsze wieki istnienia chrześcijaństwa z jednej strony działały na użytek rabinów, którzy po zburzeniu świątyni w Jerozolimie przejęli rząd dusz w judaizmie, a z drugiej strony generowały coraz wyraźniejsze różnice wśród entuzjastów Jezusa. **Jak rabini określali dogmatyczną strukturę judaizmu w opozycji do wyznawców Jezusa, tak teologowie chrześcijańscy budowali tożsamość nowej religii w sporze z judaizmem rabinicznym właśnie.** I, jak to zwykle bywa, kłótnie w rodzinie są najbardziej dotkliwe, a wojny o miedzę – najbardziej krwawe. Początkowo mieliśmy do czynienia z symetrycznym sporem. Widzimy na kartach Nowego Testamentu stopniowe gromadzenie dowodów na ukazanie Żydów, którzy nie przyjęli Jezusa, jako tych złośliwych, niegodziwych. **Nowy Testament, zwłaszcza Ewangelia Jana, to właściwie pierwszy tekst antysemitki.** W I-II w. n.e. grupa wyznawców chrześcijaństwa oddzieliła się od judaizmu rabinicznego, który uznał ją za sektę, herezję, ale do IV w. brak wyraźnych przesłanek do tego, że to osobna religia. Obecnie większość z nas wie, że jesteśmy chrześcijanami i różnimy się od żydów. Przywołam tekst Boyarina z książki „The Jewish Gospels...”, w której stwierdził, że gdyby zapytać żyda o jego tożsamość, toby odpowiedział, że na pewno nie jest chrześcijaninem; a gdyby zapytać chrześcijanina kim jest, toby powiedział, że na pewno nie żydem.

Rzeczywiście więc teologiczny moment narodzin chrześcijaństwa można sprowadzić do tego uproszczenia. Dzisiaj mamy do czynienia z powrotem do dociekań, jak to się stało, że te dwie religie patrzyły na siebie tak nienawistnie. Symetria oczywiście zniknęła po drodze, bo nienawiści ze strony żydów chrześcijaństwo niemal nie odczuwało, natomiast odwrotnie – owszem. Moment narodzin religii chrześcijańskiej jest zatem bardzo ciekawy, bowiem nie tylko całkowicie czerpała ona z religii matki, ale jeszcze miała jej za złe, że istnieje. To paradoks teologiczny, bo buddyści przecież nie mają za złe hindusom, że wciąż istnieją. Chrześcijanie za to czekają na nawrócenie żydów. Z drugiej strony w momencie, gdy chrześcijaństwo odkleiło się od judaizmu, większość nawróconych, tak zwanych Ojców Kościoła, czyli pierwszych teologów, znała znakomicie tradycję grecką i łacińską. To oczywiście Orygenes, Ireneusz, Justyn, Hieronim i, najbardziej chyba znany, Święty Augustyn. I z czym mamy do czynienia? Do odpowiedzi posłużyłbym się intuicjami już spoza teologii, teoriami Erica Voegelina czy Karla Jaspersa, którzy stwierdzili, że Ateny to rozum, a Jerozolima to Bóg, co oznacza, że Grecy dali nam rozum, a Żydzi Boga. Chrześcijanie sprytnie to połączyli. Pisząc po grecku i łacinie, szybko dokonali syntezy tych dwóch wielkich intuicji. „Dać rację wierze, która jest w Tobie” – powtarza się tu jako pewien lejtmotyw. To jeden z sukcesów tej religii, która w sposób przekonujący potrafiła wiarę żydów „sprzedać” poganom. Judaizm był jednak religią pozbawioną impulsu misjonarskiego, natomiast dla chrześcijaństwa bardzo szybko stał się on konstytutywny, zwłaszcza w połączeniu z polityką. Sukces zatem wziął się z połączenia greckiego rozumu i żydowskiej wiary ze zbrojnym politycznym ramieniem, które okazywało się pomocne, gdy zwykła perswazja w procesie nawracania niektórych ludów przestawała być skuteczna. Profesor Karol Modzelewski pisał, że **większość pogańskich nacji w Europie „barbarzyńskiej” miała do wyboru topór albo chrzest, a nawet taka alternatywa nie dla wszystkich była oczywista. Część niestety poległa na polu chrystianizacji.**

Tu pojawia się pytanie, jak chrześcijaństwo – mimo początkowo dość rewolucyjnej retoryki i popularności zwłaszcza wśród osób, które obecnie nazwalibyśmy wykluczonymi społecznie – tak szybko przekonało się do instytucji władzy i później, już w innym kontekście historycznym, stało się tak przydatnym narzędziem upolitycznienia religii? Dlaczego sojusz tronu i ołtarza okazał się tak trwały, skuteczny i również tak niebezpieczny, bo przecież to z niego wynikają wojny religijne, polowanie na czarownice czy w Polsce choćby sojusz Kościoła z zaborcami... Czy to emanacja wspomnianego sukcesu, czy jednak zaprzepaszczenie pierwotnych wartości?

Przede wszystkim zastanowiłbym się, czy chodzi tylko o chrześcijaństwo, czy katolicyzm. Od razu przychodzi mi do głowy islam, który ma dokładny paradygmat sukcesu politycznego. Siedem wieków po

chrześcijaństwie pojawia się Mahomet i jego pierwsi wyznawcy, którzy bardzo szybko osiągają niezwykle sukces – przecież współczesny Bliski Wschód, północna Afryka i część Półwyspu Iberyjskiego to kwestia dwóch, trzech wieków. **Biorąc pod uwagę ponad 500 lat obecności islamu w Europie, można się zastanawiać, jak potoczyłyby się losy naszego kontynentu, gdyby nie walki z muzułmanami i wyparcie islamu z Europy. Warto podkreślić, że związek z polityką to nie tylko cecha chrześcijaństwa.**

Dopowiem, że całe średniowiecze w Europie to przecież napięcia na linii cesarstwo–papiestwo, a w islamie podobnego dualizmu dostrzec nie można. W chrześcijaństwie od początku silnie podkreślano wymiar duchowy, oderwany od doczesności, a i tak stało się ono bardzo wygodnym politycznym narzędziem, mimo tak wyraźnego dualizmu.

Próbowałem zgłębić to zjawisko, studiując historię jezuitów i ich sukcesu. Poszukiwałem rodzaju klucza, jaki stosował ten zakon, choć to samo można by powiedzieć o dominikanach kilka wieków wcześniej czy benedyktynach i cystersach. Jeśli mówimy o chrześcijaństwie, a zwłaszcza o katolicyzmie, to warto zwrócić uwagę na elementy tego sukcesu. To właśnie zakonnicy stali się szybko spowiednikami, doradcami, wcześniej pojawiła się funkcja nuncjusza, czyli przedstawiciela, a właściwie agenta, Watykanu w różnych krajach. **Jeśli podejmiemy do katolicyzmu jako struktury i instytucji politycznej, świeckiej, to warto zwrócić uwagę na jej niezwykle akrybię, zdolność wykorzystania organizacji zakonnych, które stały się organizmami ponadpaństwowymi i wiele wieków przed powstaniem Unii Europejskiej odgrywały rolę znieawidzonych obecnie biurokratów z Brukseli.** To właśnie oni pełnili funkcję cywilizacyjną. Również Mieszko, nasz protoplasta, zwrócił uwagę na możliwość wykorzystania chrześcijaństwa jako ważnego narzędzia politycznego. A pierwszy polski historyk to przecież mnich benedyktyński pochodzący prawdopodobnie z Francji, stąd imię – Gal Anonim. To połączenie sukcesu religijnego z politycznym dokonało się bardzo szybko. Proszę jednak zauważyć, że **islam, mimo błyskawicznej ekspansji, respektował wiarę ludów podbitych, a chrześcijaństwo tego nie robiło. Kierowało się nieodpartą chęcią uszczęśliwienia wszystkich podbitych, żeby mogli osiągnąć szczęście wieczne jeszcze za życia poprzez chrzest, przynależność do Kościoła.** Realizacją tego założenia była coraz rzadziej już używana instytucja spowiedzi, a zwłaszcza tajemnica spowiedzi. To cały system kontroli, który zaowocował tym, że aktualny władca katolicki miał zapewnione wsparcie duchowe, czyli dostęp do sakramentów, drogę do zbawienia, a jednocześnie wsparcie polityczne, pod warunkiem że będzie wzmacniał Kościół. Współcześnie określilibyśmy to jako „win-win situation”. To świetnie grało i gra do dzisiaj w niektórych krajach.

Kiedy patrzy się na Kościół jako organizację dążącą do politycznego sukcesu, nie do końca rozumiała

jest – zwłaszcza dzisiaj – tak radykalna wrogość Kościoła wobec szeroko pojętej nowoczesności. Pan o tym pisze, analizując zwłaszcza dokumenty papieżstwa z XIX w. i czasów wcześniejszych, które na tle niebywale szybkich przemian na arenie światowej wydają się potwornie wsteczne, nawet z perspektywy nie aż tak znowu nowoczesnego Kościoła współczesnego. Na tym tle II sobór watykański jest niemal jak lądowanie na Marsie – wydawałby się nie do pomyślenia jeszcze 20 czy 30 lat wcześniej. Można by pomyśleć, że dla Kościoła, który chce podbijać świat, pogodzenie się na przykład z seksualnością byłoby fantastycznym wyjściem. Kościół przestałby wtedy represjonować ludzi za rozwody, związki pozamałżeńskie, homoseksualizm, płęć, antykoncepcję... Jak wytłumaczyć taką postawę? Czy dla podtrzymania rządu dusz nie można by odpuścić władzy nad ciałami?

Zacznę może od anegdoty. Dogmat o nieomyślności papieża, ogłoszony na I soborze watykańskim w 1870 r. jest przez niektórych tłumaczony tym, że pod koniec lat 50. XIX w. Kościół stracił Państwo Kościelne na rzecz zjednoczenia Włoch. Pius IX ogłosił się wówczas więźniem Watykanu, ale w desperackiej próbie zachowania własnego autorytetu zmusił biskupów – swoich podwładnych, z których niektórzy, wykształceni i inteligentni, byli jednak bardziej chętni do kontaktu ze światem i dążenia do unowocześnienia – do ogłoszenia tego dogmatu, będącego swoistym zadośćuczynieniem: „nie mam państwa, ale jestem nieomyślny”. To oczywiście uproszczenie, ale z grubsza można powiedzieć, że tragedią katolicyzmu od połowy XIX w. do połowy XX w. było całkowite utożsamienie go z papieżstwem. Papież wyrósł na postać, bez której nie można być katolikiem. Pojawiła się ogromna potrzeba publikowania dokumentów. Wszyscy papieże po Piusie IX niemal co roku wydawali kolejne encykliki, wychodząc z założenia, że ludzie są za głupi, sami do niczego nie dojdą, więc trzeba im wszystko objaśnić, ustawić życie od narodzin do śmierci, od poranka do nocy. To rodzaj patologii związany z utratą dotychczasowej władzy. Wówczas pojawiły się wśród kleru liczne niewłaściwe zachowania, choćby donosicielstwo, powstał indeks ksiąg zakazanych, prawo nauczania o Kościele tylko dla tych, którzy bezwzględnie popierają doktrynę papieską. Ta reglamentacja sprawiła, że Kościół rzeczywiście stał się pewnego rodzaju skansenem w świecie zachodnim, który po rewolucji francuskiej uwierzył w rozum i postęp. W odpowiedzi nastąpiło nie tylko zamknięcie Kościoła na te wartości, ale wręcz stygmatyzacja ich jako niemoralnych czy diabelskich. Powrócę teraz do wspomnianej anegdoty. Niektórzy twierdzili, że wraz z ogłoszeniem dogmatu o nieomyślności, promień światła oświecił tron papieski, co miało być potwierdzeniem słuszności tego orzeczenia. Mniej jednak mówi się o tym, że Pius IX, gdy spotykał się z głosami sprzeciwu, po prostu dostawał furii. Czy ten promień faktycznie zaświecił, czy też nie – powtórzę za Hansem Küngiem – **dekret o nieomyślności papieża**

spowodował całkowity upadek katolicyzmu, z którego do tej pory się nie podniósł, upadek wiary w rozum i coraz powszechniejsze promowanie antyintelektualizmu. Zgadzam się z Haliną Bortnowską, jedną z niewielu myślących katoliczek w naszym kraju, która powtarza: musimy o tej klątwie antymodernizmu rozmawiać, bo ona jest dziś naszym przekleństwem. Zatem ma pan rację, to jest problem. W Kościele wprawdzie są ci, którzy mają pragmatyczne odruchy i chcą o tym dyskutować, ale oni najczęściej kończą tak jak ja – poza Kościołem.

Skoro mówimy o upadku i antyintelektualnym pogrążaniu się Kościoła, to czy Jan Paweł II był postacią, która Kościół podźwignęła, czy też pogrążyła? Często przywołuje się w tym kontekście dialog z innymi religiami. Z tym że w innych kwestiach Jan Paweł II był jednak niesłychanie konserwatywny. Obecnie mówi się, że Kościół w Polsce funkcjonuje znacznie gorzej niż za czasów Jana Pawła II – zarówno pod względem intelektualnym, jak i moralnym. Czy nie jest to rezultat jego pontyfikatu?

Do postaci Jana Pawła II mam stosunek ambiwalentny. Pierwsze siedem lat, do połowy lat 80., to były lata tłuste, to był ten Jan Paweł II, który wniósł świeży powiew do Watykanu, który wyraźnie miał dość tamtejszej maszyny biurokratycznej. Wydawało się, że on poprzez swoje liczne podróże wręcz stamtąd uciekał. Z tym pierwszym okresem jest też związane dowartościowanie mniejszej, „młodszej” Europy, czyli jej części środkowo-wschodniej, która za sprawą żelaznej kurtyny była właściwie nieobecna na arenie światowej. Choćby dowartościowanie Cyryla i Metodego jako współapostołów Europy, pierwsza pielgrzymka do Polski, podczas której mówił o sobie jako „słowiańskim papieżu” – to gesty naprawdę wyjątkowe w dziejach papieżstwa. W dodatku to, co i jak mówił, przyznało mu status wręcz gwiazdorski. Zupełnie inny jest natomiast już drugi i trzeci okres Jana Pawła II – żałuję, że papież wtedy nie abdykował, bo być może jego pontyfikat zostałby zapamiętany nieco inaczej. Nie mówię tu z polskiej perspektywy, posługuję się raczej kategoriami socjologicznymi. W pierwszym okresie Jan Paweł II rzeczywiście rozbudził ogromne nadzieje, często powoływał się na II sobór watykański, na wiodących teologów. Natomiast od połowy lat 80. XX w. mamy do czynienia z tym, co wspomniany już Karl Rahner nazwał Winterzeit, czyli czasem zamrożenia wszystkiego, co rozpoczął właśnie II sobór watykański. Jak to wyglądało w praktyce? Oczywiście mieliśmy Asyż, wielkie spotkanie międzyreligijne, ogromne otwarcie na judaizm, wyjątkową książkę „Przekroczyć próg nadziei”, niektóre encykliki, jak na przykład „Ut unum sint”, w której pojawia się wezwanie do pomocy ze strony wyznawców innych denominacji chrześcijaństwa w zrozumieniu roli i posłannictwa papieża. Z drugiej strony Jan Paweł II sprawił, że została zamrożona pewna refleksja nad

katolicyzmem i Kościołem. Dzięki swojemu rottwailerowi – jak nazywano kardynała Ratzingera – czyli „pierwszemu po Bogu” prefektowi Kongregacji Nauki Wiary, oddał niedźwiedzią przysługę z punktu widzenia socjologii religii. Zahamował działalność teologów najbardziej kreatywnych, pozbawił ich możliwości nauczania, włączył ich dzieła do indeksu ksiąg zakazanych, czyli zamroził próby powrotu do początków wiary. Inna kwestia to nominacje biskupie, które zwłaszcza w Ameryce Południowej, Polsce i Rosji sprawiły, że Kościół na nowo zaczął być postrzegany jako gracz polityczny, a nawet zagrożenie. Moim zdaniem fatalne było to, że Jan Paweł II, mniej czy bardziej świadomie, ustanowił taki model konfrontacyjny. Dla mnie osobiście – jako człowieka, który był wtedy w Kościele i wiązał z nim tak wiele nadziei – ale także dla moich przyjaciół oraz innych ludzi z mojego pokolenia najgorszy był właśnie ten powrót do sylabusa, dokumentu zawierającego zbiór wszelkich możliwych błędów, jakich mógł się dopuścić katolik niepodzielający bezkrytycznie nauczania papieskiego, z okresu II soboru watykańskiego, który wówczas zamroził Kościół na dialog. Janowi Pawłowi II zawdzięczamy również tak nieszczęśliwe wyrażenia jak choćby „cywilizacja śmierci”, stygmatyzowanie wszystkiego, co nie jest katolicyzmem, i obsesję na punkcie seksualności. Próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie, kto w tej kwestii był pierwszy, bo jako amerykanista zajmuję się głównie Stanami Zjednoczonymi i podobne obsesje dostrzegłem u tamtejszych fundamentalistów protestanckich. To jednak nie do rozstrzygnięcia, ponieważ te dwa fenomeny rozwijały się równolegle. Nieprzypadkowo również, moim zdaniem, w jednym z pierwszych wystąpień papież Franciszek stwierdził, że Kościół nie powinien mieć obsesji seksualności, bo sam pewnie doświadczał jej praktycznych skutków, gdy niektórzy księża mylili konfesjonał z miejscem przesłuchań. Katolicyzm musi to niestety odchorować. A odpowiadając krótko na pytanie – moim zdaniem **tragedią polskiego Kościoła jest wiara w to, że Jan Paweł II może zastąpić Jezusa Chrystusa**. Mówię to z pełną odpowiedzialnością. Pamiętam, gdy jeszcze jako jezuita w Rzymie otrzymałem od kogoś książkę ks. profesora Tadeusza Stycznia i – wówczas biskupa – Stanisława Dziwisza o Janie Pawle II. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie wiedziałem, czy to książka o Karolu Wojtyła, czy o Jezusie Chrystusie. Nie poruszam tematu fabryki świętych, bo to odrębna kwestia.

Jak to się stało, że Jan Paweł II został kanonizowany tak szybko? Czy on sam przed śmiercią nie przygotował tej ścieżki, skracając czas od śmierci do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego?

Są fascynujące studia mojego przyjaciela, włoskiego historyka Roberta Rusconiego na ten temat i mam nadzieję, że kiedyś ukaza się na polskim rynku. Chodzi o to, że mamy do czynienia z mitologizacją tej

postaci, a jej demitologizacja będzie jeszcze trudniejsza niż demitologizacja Jezusa Chrystusa, która dokonała się w protestantyzmie w drugiej połowie XIX w.

Ponieważ w Polsce Trójca Święta to Jezus Chrystus, Matka Boska i Jan Paweł II – nie przesądzając kolejności – myślę, że może pan mieć rację. Zapytam teraz o współodpowiedzialność Kościoła za Holokaust. Czy chrześcijański antyjudajizm przyczynił się do tej największej tragedii w dziejach ludzkości?

To bardzo trudne pytanie, ale nie będę unikał odpowiedzi. I odpowiem afirmatywnie: **bez chrześcijaństwa nie byłoby „Mein Kampf” i nie byłoby Hitlera.** Ten wychowany w katolickiej rodzinie Austriak napisał swoją straszną i obrzydliwą książkę dlatego, że czytał antysemityczne pisma wydawane w większości przez instytucje chrześcijańskie – zarówno katolickie, jak i protestanckie, bowiem protestanci również mają w tym swój udział, zwłaszcza dzięki Marcinowi Lutrowi, który był szalenie antysemityczny. Jak już wspomniałem, sam Nowy Testament w wielu fragmentach ma charakter antysemityczny, antyżydowski czy też antyjudajistyczny. Oczywiście miało to zupełnie inny charakter niż antysemityczne pisma w XIX czy XX w. Chodziło o to, by grupa entuzjastów Jezusa Chrystusa wybieliła się wobec ówczesnego Imperium Rzymskiego i wskazywała na Żydów jako „tych złych”. Ale niezależnie od interesów apologetyczno-krytycznych wobec tamtych rozliczeń bardzo dobra baza dla antysemityzmu jest już w Nowym Testamencie. To skomplikowana kwestia, ale takich elementów można się doszukać, czego najlepszym przykładem jest sam Luter, który, jak wiadomo, był znakomitym znawcą Biblii. Kolejna baza to Ojcowie Kościoła, zwłaszcza Jan Chryzostom, który był mistrzem mów przeciw żydom, posługiwał się całym arsenałem epitetów, łącznie z porównywaniem ich do zwierząt zagrażających ludziom. W średniowieczu w ogóle powszechna była demonizacja żydów. Jest wiele opracowań na ten temat i myślę, że z łatwością można z nich wysnuć całą genealogię antysemityzmu. Nie oznacza to jednak – powołałam się już na dokumenty normatywne, i żydowskie, i chrześcijańskie, spisane jednak już po Zagładzie – że nie można poprowadzić prostej linii przyczynowo-skutkowej między chrześcijaństwem i Holokaustem. Mam tu na myśli przede wszystkim deklarację II Soboru Watykańskiego „Nostra aetate” i odpowiedź żydowską z roku 2000 „Dabru emet”. Inna sprawa to problem inspiracji nazizmu antysemityzmem chrześcijańskim. Są to jednak dwie różne sprawy i nie można ich mieszać. Trzeba też podkreślić, że nazizm z natury był pogański i miał również charakter antychrześcijański. Krótko mówiąc, z tą genealogią niechęci do żydów nie należy łączyć obwiniania chrześcijan za Holokaust, bo Zagłady dokonali konkretni ludzie i to oni powinni być rozliczani, a

nie religie jako abstrakcyjne wielkości. Niemniej cały katalog restrykcji antyżydowskich, który Hitler wprowadził w Norymberdze i później, od noszenia specjalnych łat czy gwiazd na ubraniach po zamykanie w gettach, można wywieść z tego, co katolicy czy ściślej mówiąc niektórzy papieże robili od wieków. Również materiał ideowy pojawia się w pismach chrześcijańskich, choć oczywiście Hitler doprowadził go do absurdu. Zbliża się kolejna rocznica pogromu w Kielcach, więc warto wspomnieć również o tym, że bez bazy i przygotowania, choćby w postaci prasy o ogromnym zasięgu, wydawanej między innymi przez ojca Maksymiliana Kolbego, antysemityczne hasła nie znalazłyby tak pożywnej gleby w Polsce i innych krajach chrześcijańskich.

Czy w funkcjonowaniu w zinstytucjonalizowanym Kościele wiara w Boga przeszkadza, czy pomaga?

Innymi słowy: czy papież wierzy w Boga, bo musi? Wbrew pozorom to pytanie całkiem serio.

Odpowiem cytatem literackim z „Braci Karamazow” – „Legendą o Wielkim Inkwizytorze”. Otóż Wielki Inkwizytor ma kłopot, ponieważ chciał spalić heretyka, a okazuje mu się, że jest on Synem Bożym, który po raz drugi przyszedł na ziemię. Jezus trafia do więzienia. W nocy przychodzi do niego Wielki Inkwizytor i mówi: „Wiem, kim jesteś. Nie przeszkadzaj nam. Lepiej od ciebie wiemy, czego ludowi potrzeba”. Myślę, że w tym sensie wiara w Boga przeszkadza księżom, biskupom czy papieżom. Czasem zdarza się ktoś wierzący i wprowadza zamęt. Oby takich wierzących było więcej, ale niestety jest ich mało. W tym kontekście warto wspomnieć jedną z wypowiedzi papieża Franciszka na spotkaniu ze studentami w czerwcu 2016 r. w Rzymie. Odpowiadając na jedno z pytań papież, przyznał, że nieraz przeżywał kryzysy wiary, pozwalał sobie na krytykowanie Jezusa, a nawet miał wątpliwości na tym tle: „Czy to jest prawda? A może marzenie?”. Dodał, że tego rodzaju stany nawiedzały go, gdy był dzieckiem, ale też później, gdy był seminarzystą, zakonikiem, kapłanem, biskupem, a nawet gdy jest papieżem. Ale zaraz dodał: „**Chrześcijaninowi, który nie czuł tego nigdy, który nie przeżywał kryzysu wiary, czegoś brakuje**”. **O ile wiem, to pierwszy papież, który ma wątpliwości związane z wiarą.**

Hannah Arendt pisze, że rozdzielenie religii i władzy świeckiej – symbolicznie datowane na rok 1648 – bardzo zaszkodziło tej drugiej. Okazało się bowiem, że władza świecka potrzebuje ukonstytuowania religijnego. Może sekularyzacja to tylko epizod, a nie uniwersalny proces? Czy przekonanie, że będziemy żyli w świecie odczarowanym z religii, nie jest fałszywą perspektywą mieszkańca Europy Zachodniej?

To w gruncie rzeczy pytanie o postsekularny świat. Zaczę od cytatu z Andrégo Malraux, humanisty ateistycznego, który w latach 60. XX w. stwierdził, że wiek XXI albo będzie wiekiem mistyki, albo go w ogóle nie będzie. Brzmi to bardzo intrygująco, niektórzy dostrzegli w tym zapowiedź New Age, różnych niezinstytucjonalizowanych doświadczeń duchowych, które rozkwitną na nowo. Myślę, że poza efektownym brzmieniem, z tego stwierdzenia nic nie wynika. Ateiści często mają nazbyt optymistyczne wyobrażenie o religii. Są oczywiście ateści antyreligijni, ale są też inni, którzy mówią, że „im niestety łaska wiary dana nie została”. Ja bym siebie umiejscowił gdzieś pomiędzy. Czasem nazywam siebie agnostykiem, czasem deistą czy katolikiem kulturowym. Ale gdybym miał krótko scharakteryzować współczesny świat, stwierdziłbym, że z punktu widzenia danych statystycznych faktycznie tylko w Europie obserwujemy – mniej więcej od lat 30. ubiegłego wieku – rosnącą tendencję sekularyzacyjną. To, że w Polsce, w Hiszpanii, we Włoszech czy do niedawna w Irlandii wyglądało to nieco inaczej, było wynikiem przede wszystkim silnego powiązania religii z różnymi instytucjami, na przykład edukacyjnymi. Statystyki zatem wyglądały tam inaczej, ale, jak powiedzieli mi kiedyś studenci z Hiszpanii: „Nasi rodzice wierzyli, ale nie chodzili do kościoła, a my już nie wierzymy”. Nawet kraje tradycyjnie chrześcijańskie czy katolickie przestają takie być. Europa jednak jest wyjątkiem. W Afryce, Azji i obu Amerykach obserwujemy znaczący wzrost entuzjazmu religijnego. Opieram się tu na badaniach Petera Bergera, znanego socjologa religii. Jeszcze w latach 60. XX w. pisał on książki o sekularyzacji, a od końca stulecia po dziś dzień pisze już o tym, że popełniliśmy błąd. Nie błąd matematyczny, ale wynikający z zawężonego pola obserwacji. Stwierdza on w swoich ostatnich książkach, że obserwowaliśmy jedynie Europę i Stany Zjednoczone, formułując na tej podstawie ogólne wnioski. Natomiast w Azji, Afryce, czy Ameryce Południowej dało się dostrzec bardzo silny rozwój Kościoła Pentekostalnego. Właśnie poszerzone pole obserwacji zmieniło całkowicie nasze postrzeganie religii. Wiek XX może być w ogóle nazwany wiekiem zielonoświątkowców – mała sekta w Kalifornii, jaką byli na początku stulecia, urosła i liczy 500 mln wyznawców. W 2050 r. będzie ich prawdopodobnie miliard. Co to oznacza? Przecież ci ludzie nie biorą się znikąd, to są właśnie osoby po doświadczeniach w dotychczasowych wspólnotach religijnych, protestanckich i katolickich, które stają się członkami takich charyzmatycznych ruchów czy megakościołów. Podobnie zaskakujące wnioski formułuje chiński socjolog religii Fenggang Yang, który twierdzi, że do połowy tego wieku w Chinach może być ponad 300 mln chrześcijan. Jaki zatem z tego morał? Lepiej nie formułować teorii, które będą falsyfikowalne przez doświadczenie. Kościół katolicki na krótko przed II soborem watykańskim i tuż po nim to dwie różne instytucje. Myślę, że identycznie jest z samym katolicyzmem. Katolicyzm późnego Jana Pawła II był religią

coraz bardziej osamotnioną, związaną w niektórych kręgach wręcz z obciachem. Teraz katolicyzm jest znowu „cool”. Przepraszam za odwołanie do żargonu młodzieżowego, ale tak to w tej chwili wygląda. Franciszek nazywany jest „papieżem selfie”, są już nawet studia na ten temat. Liderzy bardzo silnie wpływają na zmianę obrazu religii, wykształcenia jej pozytywnego czy negatywnego wizerunku. Buddyzm Dalajlamy to buddyizm z ludzką twarzą, cieszący się pluralizmem. Myślę, że katolicyzm Franciszka, niefiltrowany przez recepcje lokalne, jest podobny. Jürgen Habermas po 11 września 2001 r. stwierdził, że nie zauważaliśmy religii, że on sam jako filozof komunikacji nie zauważał religii. „Musimy w religii zauważyć partnera” – tę tezę Habermasa podjął, o dziwo, kilka lat później w rozmowie z nim Joseph Ratzinger, przyznając, że musimy zrobić miejsce sekularyzmowi, bo sekularyzm pozwala religii nazwać jej wymiar racjonalny. Zatem, krótko mówiąc: dialog. Bez rozmowy, bez możliwości artykułowania, idee wypracowywane w samotności pozostają jedynie naszymi dziwacznymi tworam. A wracając do Hannah Arendt, to myślę, że pisząc swoją książkę „O rewolucji”, w istocie krytycznie się wyrażała o zasadzie *cuius regio eius religio* zaproponowanej jako sposób na zakończenie wojen religijnych w Europie w XVII w., która nie tylko rozłączyła religię od władzy świeckiej, ale mocniej uzależniła ją od kaprysu władzy politycznej i w tym sensie zaszkodziła zarówno jednej, jak i drugiej. Z niekłamanym natomiast entuzjazmem pisze Arendt o amerykańskim modelu separacji religii od polityki. Dzisiaj ten stosunek również w USA jest o wiele bardziej skomplikowany, niż to było w czasach Arendt. W pewnym sensie jesteśmy u progu radykalnych przemian również w sferach polityki i religii i z tego powodu każde uogólnienie niesie ze sobą ryzyko. Dlatego jestem ostrożny. Musimy poczekać.